

Stanisław Głąbiński

**Rządy sanacji
w Polsce**

(1926-1939)

Tekst Stanisława Głabińskiego jest suplementem do wydanych wiosną 1939 roku wspomnień politycznych.

„Po nas może przyjść potop” (apres nous le deluge) - powiedziec miała pani markiza de Pompadour, ulubienica króla Ludwika XV, kiedy jej wyrzucano marnotrawienie skarbu publicznego, powoływanie nieudolnych faworytów na naczelne stanowiska w wojsku i administracji cywilnej, lekkomyślną politykę zagraniczną, prowokowanie uczuć ludności. Rzeczywiście, w dwadzieścia pięć lat po jej śmierci nadszedł ów potop, który pociągnął za sobą mnóstwo niewinnych ofiar, ale wstrząsnął sumieniem Francji i całej Europy oraz przyczynił się do odrodzenia Francji.

Po dokonaniu zamachu majowego zawołał był triumfalnie naczelny publicysta obozu pomajowego, redaktor Stpiczyński: „Mamy władzę na piętnaście lat zabezpieczoną”, nie wchodząc w to, jak wyjdzie na tym zwycięstwie Polska.

Oto dzisiaj jesteśmy świadkami i ofiarami tego lekkomyślnego i niegodziwego targnięcia się na majestat Polski. Nie minęło piętnaście lat, upłynęła zaledwie kabalistyczna liczba Piłsudskiego – trzynastka – a już świat cały ze zdumieniem patrzy na pograżenie Polski w straszliwej katastrofie. Trudno ocenić, co w tej katastrofie jest dziełem przemocy, a jaka część winy spada na trzynastoletnie rządy pomajowe. W każdym razie ciężka wina i bezgraniczna odpowiedzialność spada na tych ludzi, którzy wiedzeni żądzą władzy, mściwością oraz pożądaniem dobra państwowego objęli rządy bez żadnego poczucia odpowiedzialności i sprawowali je tak, jakby chcieli za ową nierządnicą powiedziec: „Po nas może przyjść potop”.

Rozdział pierwszy

Sprawca buntu i zamachu stanu „wskrzescielem” państwa

Odważnym i zuchwałym sprzyja szczęście. Józef Piłsudski był człowiekiem odważnym i zuchwałym, mściwym i okrutnym. Unosiła go ponad wszystko niezmierna ambicja i pycha, wzdarga dla otoczenia, które wraz z całym społeczeństwem polskim nie wahał się nazwać „narodem idiotów”. Sam, jakby był nadczłowiekiem, jakby nie zaliczał się do tego narodu, miał zwyczaj przemawiać do Polaków - „wy Polacy”. Jak traktował najbliższych, najlepiej świadczą Strzępy meldunków Sławoja Składkowskiego, byłego ministra spraw wewnętrznych i ostatniego kilkuletniego premiera.

Nawet najwierniejszego Rydza-Śmigłego, dziedzica swojej godności i sławy, nazwał raz na zebraniu oficerów w Wilnie w przystępie dobrego humoru „najgłupszym” człowiekiem na świecie. Jako wodza nad wodzami uznawał powagę wojskową jedynie Napoleona.

Tego oto człowieka obwołała jego własna klika Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i legionistów „wskrzescielem” Polski. Przez długi czas nazwa ta nie zyskiwała echa w społeczeństwie polskim, które dobrze wiedziało, że legion Piłsudskiego, stworzony przy udziale sztabu austriackiego, nie był ani jedyną, ani największą polską organizacją wojskową i niepodległościową, że wyprawa kijowska, podjęta przez Piłsudskiego, byłaby się skończyła straszliwym pogromem Polski, gdyby nie armia ochotnicza pod wodzą Józefa Hallera, cud nad Wisłą i zwycięstwo Sikorskiego nad Wkrą.

Po dokonaniu zamachu i po rezygnacji prezydenta Wojciechowskiego i rządu Witosa Piłsudski nie ogłosił się dyktatorem, lecz starał się utwierdzić w opinii publicznej przez wyjaśnienie przyczyn krwawego i gwałtownego czynu. Na jego życzenie, zaprosił premier nowego rządu Kazimierz Bartel na herbatkę przydzia wszystkim klubów sejmowych. W dniu 29

maja 1926 r. jawiły się w Prezydium Rady Ministrów wszystkie, oprócz klubu Związku Ludowo-Narodowego, w imieniu którego zapowiedziałem, że nie przybędę na znak protestu przeciwko zamachowi i przeciwko udziałowi Piłsudskiego w zebraniu legalnego przedstawicielstwa narodu.

Wedle relacji uczestników Piłsudski miał przemówienie do zebranych wytykające Sejmowi polskiemu nie popełnione zbrodnie i zapowiadające silne rządy „bata”. Między innymi miał powiedzieć: „Głównymi powodami obecnego stanu rzeczy w Polsce, to jest nędzy, słabizny wewnętrznej i zewnętrznej, były pozostające bezkarnie złodziejstwa. Wydałem wojnę szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom, i w walce tej nie ulegnę. Moim programem jest zmniejszenie łajdactwa i utorowanie drogi uczciwości”.

Poza tym Piłsudski zażądał zwiększenia uprawnień rządu przez ograniczenie praw Sejmu. „Sejm i Senat mają nadmiar przywilejów i należy, aby ci, którzy powołani są do rządów, mieli więcej praw”. To drugie żądanie było tylko echem powszechnej opinii sfer umiarkowanych, reprezentowanej głównie przez Związek Ludowo-Narodowy. Największą popularność Piłsudski zdobył przez żądanie pierwsze, tak łatwo przemawiające do umysłowości tłumów.

Wkrótce jednak po ścisłych badaniach i śledztwach okazało się, że owi „szuje, mordercy, łajdaki i złodzieje” nie znajdowali się po stronie oskarżonej, lecz po stronie oskarżycielskiej i krzewili się odtąd bujnie w nieskończoność na gruncie przez bunt wojskowy i zamach stanu użyzionym.

Najgubniejszym dla Polski następstwem powrotu Piłsudskiego do władzy było w polityce wewnętrznej ponowne braterstwo broni z Niemcami, połączone z lekceważeniem groźnego z tej strony niebezpieczeństwa dla bytu Polski. W polityce wewnętrznej zaś – rozpanoszenie się tak zwanej sanacji moralnej, terroru policyjnego oraz programowej walki z obozem narodowym i niezależnym ludowym jako zasadniczym przeciwnikiem „sanacji moralnej” i policyjnego systemu rządów. Jakie skutki z tego wynikły, widzi to dzisiaj każdy myślący człowiek. Wobec katastrofy znikają pewne dodatnie wyniki, osiągnięte przez te rządy przy pomocy obozu narodowego przy reformie Konstytucji marcowej, dokonanej już w 1926 r., mianowicie wzmocnienie rządu i usprawnienie działalności Sejmu. Nic nie może usprawiedliwiać braku miliardowych funduszy na stworzenie silnej floty powietrznej i na ufortyfikowanie granic, ponieważ Piłsudski po zamachu objął Ministerstwo Spraw Wojskowych i był później premierem. W okresie 1927-1929 były zaś ogromne nadwyżki budżetowe. Kredyt państwowy dzięki temu wzrósł w kraju i za granicą, a pomimo to nie podjęto wcale próby zabezpieczenia państwa pod względem militarnym i porozumienia się ze wschodnim sąsiadem. Przeciwnie - nastął dłuższy okres państwowej rozrzutności i „radosnej twórczości”. Starano się wmówić w naród, że pod rządami Piłsudskiego obrona i bezpieczeństwo państwa spoczywają na gruntownej podstawie, a do zbadania magazynów wojskowych nie dopuszczano ani Komisji Wojskowej, ani Najwyższej Izby Kontroli Państwa, pod pozorem zabezpieczenia tajemnic wojskowych przed ludźmi niepowołanymi.

Coraz serdeczniejsze stosunki z hitlerowcami nie pozwalały na bezwzględne śledzenie, ściganie i karanie osób podejrzanych o szpiegostwo i zdradę kraju na rzecz Niemiec. Stracenie z motywów osobistych tak znakomitej siły lotniczej, jaką był generał Zagórski, który nasze lotnictwo zdolny był podnieść na wyżyny techniki, nie świadczy o tym, aby w tej sferze interes państwa przeważał nad interesem osobistym.

Ścisłe stosunki Piłsudskiego z Niemcami od czasów jego przynależności do partii socjalistycznej i „rewolucji” z 1905 r., następnie braterstwo broni w wojnie światowej i nawiązanie po wojnie serdecznych stosunków dyplomatycznych z rządem niemieckim przez przyjęcie Kesslera jako ambasadora niemieckiego, były przeszkodą dla wzmocnienia przymierza

z Francją i przyjacielskich stosunków z Anglią i Rosją sowiecką. Takie surogaty tych przymierzy, jak sojusz z Rumunią, nie na wiele przydały się nam w czasie wojny. Przeszłość rewolucyjna Piłsudskiego była źródłem jego nienawiści i nieustającej walki z obozem narodowym, szczególnie z Narodową Demokracją. Walka ta była jego żywiołem życiowym, przedmiotem jego kombinacji politycznych, a pojednawczość ze strony obozu narodowego zaostrzała tylko tę zawiść i pragnienie zdeptania, sprowokowania i zniszczenia ruchu narodowego w Polsce. W czasie wojny światowej nie chciał wchodzić w żadne układy z Centralnym Komitetem Narodowym we Lwowie, co do wspólnej akcji w sprawie Polski. Po przyjeździe z Magdeburga przed stworzeniem rządu dawał mi do zrozumienia, że może tworzyć tylko rząd socjalistyczny bez udziału narodowców, co też uczynił.

Piłsudski starał się utrzymać formy demokratyczne tylko dla pozorów, a może ze względu na „złożenie” możliwej odpowiedzialności na „sejmokrację” jako na kozła ofiarnego. W istocie był despota i nie myślał z nikim dzielić się władzą. Już jako Naczelnik Państwa Piłsudski nie uznawał woli Sejmu Konstytucyjnego i prowadził własną, odrębną politykę zagraniczną i wewnętrzną. Był za polityką federacyjną przeciw polityce sejmowej, polityce zjednoczenia państwa. Był za stworzeniem samoistnej Ukrainy i w tym celu na własną rękę porozumiewał się z Petlurą oraz podjął wyprawę kijowską, robił trudności w utworzeniu armii polskiej przez pobór sześciu roczników, rezerwował ewentualnie dla siebie kresy wschodnie wbrew uchwałom sejmowym, nie respektował uchwał sejmowych w sprawie przyłączenia Wileńszczyzny do Polski zgodnie z żądaniem sejmu wileńskiego, nawet wobec dyplomacji obcej nie ukrywał swej odrębnej polityki. Był mistrzem demagogicznej propagandy, posługując się wyzwiskami rzucanymi na Sejm i sejmokrację, oczerniając ministrów i posłów, oskarżając ich o kradzieże i łajdactwa, co trafiało do przekonania tłumów, chociaż żadnego zarzutu, mając pełną władzę, udowodnić nie zdołał.

Piłsudski był człowiekiem silnej ręki i silnej woli, a pomimo to umiał sobie zjednywać serca zwolenników, którzy otaczali go wiarą, czcią i uwielbieniem do śmierci. Miał wielkie zdolności tworzenia i utrzymywania konspiracji swoich przyjaciół, ale nie przywiązywał znaczenia do jedności całego narodu.

Jako człowiek bojowy nie mógł żyć bez walki wewnętrznej, gdy nie prowadził bojów z wrogami zewnętrznymi. Stąd nie nadawał się na ojca i przywódcę narodu, który powinien otaczać miłością i przyjaźnią wszystkie warstwy narodu i wszystkich ludzi dobrej woli miłujących ojczyznę, bez względu na ich polityczne przekonania i stanowiska. Sprzeciwu najbliższych przyjaciół nie znosił. Gdy przed zamachem był u swego przyjaciela Wojciechowskiego, jako prezydenta Rzeczypospolitej, z jakimś życzeniem czy żądaniem, ale spotkał się z odmową, wyszedł z salonu oburzony i na schodach pałacu belwederskiego, w obecności warty, wybuchnął groźbą: „Ja zgaszę tę gromnicę”. I naprawdę zgasił ją wkrótce, korzystając z zupełnej bezkarności swoich groźb i wyzwisk, dzięki słabości i pobłażliwości prezydenta i rządu.

Rozdział drugi

Powołanie rządu i wybory prezydenta

Rzeczypospolitej pod terrorem.

Rozbicie większości sejmowej.

Kult niekompetencji

W kilka dni po rezygnacji rządu i prezydenta zaprosił marszałek Sejmu Maciej Rataj przewodniczących klubów sejmowych do swego gabinetu celem zastanowienia się nad powołaniem nowego rządu.

Była to konferencja wielkiej wagi, ponieważ wedle Konstytucji marcowej był Rataj zastępcą prezydenta Rzeczypospolitej. Jaką rolę odegrał Rataj po dokonaniu zamachu stanu, czy istotnie namawiał prezydenta Wojciechowskiego i rząd do rezygnacji wbrew generałom, którzy domagali się wytrwania wobec zbliżania się silnej odsieczy wojskowej, nie mogę tu stwierdzić, ponieważ nie informowałem się bliżej u osób powołanych. W sferach narodowych uważano to za pewnik, w wyniku czego przy wyborze nowego marszałka na znak nieufności wysunięto moją kandydaturę na marszałka Sejmu. Pewne jest tylko to, że Rataj porozumiał się z Piłsudskim i w porozumieniu z nim przedstawił nam kandydaturę profesora Kazimierza Bartla na premiera nowego gabinetu. Imieniem Związku Ludowo-Narodowego oświadczyłem na tej konferencji, że znajdujemy się w położeniu przymusowym i z tego powodu uchylam się od dawania opinii co do tego kandydata.

Reprezentanci innych klubów przeważnie uważali, że w tym położeniu należy przyjąć tę kandydaturę. Kazimierz Bartel został też istotnie prezesem Rady Ministrów, do której powołał Józefa Piłsudskiego jako ministra spraw wojskowych, Kazimierza Młodzianowskiego jako ministra spraw wewnętrznych, Czesława Klarnera jako ministra skarbu, Wacława Makowskiego jako ministra sprawiedliwości, Eugeniusza Kwiatkowskiego jako ministra przemysłu i handlu, Witolda Broniawskiego jako ministra robót publicznych, Pawła Romockiego, jako ministra kolei, Stanisława Jurkiewicza jako ministra pracy i opieki społecznej, Augusta Zaleskiego jako ministra spraw zagranicznych, Józefa Mikołajewskiego-Pomorskiego jako kierownika Ministerstwa Wyznań i Oświaty, Aleksandra Raczyńskiego jako ministra rolnictwa i Witolda Staniewicza jako ministra reform rolnych. Był to więc gabinet pozaparlamentarny, a charakter polityczny nadawał mu Józef Piłsudski jako jego faktyczny kierownik i zwierzchnik. On też w listopadzie sam objął kierownictwo wraz z wojskowością. Nowy gabinet na pierwszym posiedzeniu Sejmu po zamachu pojawił się w dniu 22 czerwca 1926 r., a minister skarbu Klamer złożył sprawozdanie finansowe, przedkładając wniosek o dwumiesięczne prowizorium budżetowe.

W dyskusji zabrałem głos jako pierwszy i stwierdziłem na wstępie, że sanacja skarbu została przerwana „zamachem zbrojnym, który obalił rząd i prezydenta Rzeczypospolitej i odłożył sanację skarbu na czas nieokreślony. Naruszono ustawy, złamano przysięgę wojskową, przelano krew bratnią, doprowadzono do rozdzielenia armii, rozpętano w całym kraju żywioły antyspołeczne i antypaństwowe. Jakież cel przyświecał temu gwałtowi, dla którego nie znajdujemy żadnego usprawiedliwienia?”.

Wcześniej, bo w dniach 31 maja i 1 czerwca, odbyły się wybory prezydenta Rzeczypospolitej. Związek Ludowo-Narodowy postanowił przeciw kandydaturze Piłsudskiego wysunąć własnego kandydata w mojej osobie, jako prezesa klubu, na znak, że nie może uznawać zamachu i nie ustąpi przed terrorem. Wniosek został przez wszystkich członków klubu podpisany. Rozchodziły się pogłoski o planowanym napadzie na kontrkandydata, o konieczności jednomyślnego wyboru itp.

Wieczorem 31 maja delegaci chrześcijańskiej demokracji oświadczyli, że gotowi są głosować za kontrkandydatem, ale bezbarwnym, ponieważ moja kandydatura jest zbyt prowokacyjna. W interesie sprawy zgodziłem się z ich propozycją, aby w moje miejsce wysunąć kandydata konserwatywnego Adolfa Bnińskiego, wojewodę poznańskiego, który w drodze telefonicznej zgodził się na przyjęcie kandydatury. Wiedzieliśmy z góry, że nasz kandydat nie przejdzie, ponieważ klub Piasta przyjął uchwałę „nie przeciwstawiania się Piłsudskiemu”. Zainterpelowany o to Witos miał oświadczyć: „Niech pokażą, czy umieją rządzić”.

Piłsudski, wybrany większością głosów w dniu 31 maja, nie przyjął wyboru, wymawiając się niemożnością pracy w danych warunkach konstytucyjnych. W razie przyjęcia wyboru „musiałbym się niezmiernie męczyć i łamać. Inny charakter do tego jest potrzebny”. Przyznać trzeba, że pod tym względem był szczery. Trudno jednak usprawiedliwiać potwarz, rzucaną nie po raz pierwszy przy motywowaniu rezygnacji na swoich przeciwników, którzy rzekomo „zamordowali prezydenta Narutowicza”, chociaż dobrze o tym wiedział, że Narutowicza zamordował człowiek niepoczytalny, nie należący wcale do organizacji narodowej, i że w przeddzień morderstwa w najlepszej przyjaźni porozumiewałem się z Narutowiczem jako prezes klubu. Piłsudski przedstawił jako swoich kandydatów na prezydenta trzech profesorów: Mariana Zdziechowskiego, Kochanowskiego i Ignacego Mościckiego. Faktycznie jednak położył nacisk na ostatniego kandydata jako najbardziej uległego. Istotnie, kandydat ten, nie biorący do tego czasu udziału w życiu publicznym, został w dniu 1 czerwca 1926 r. w powtórny głosowaniu wybrany, otrzymał 281 głosów przeciwko 200 głosom, jakie poszły na Adolfa Bnińskiego.

Piłsudski nie znosił samodzielnych ludzi także w gronie członków rządu. Gdy 13 listopada 1926 r. na jego żądanie ustąpił Bartel i sam Piłsudski objął przewodnictwo w Radzie Ministrów, powołał na ministra spraw wewnętrznych Sławoja Składkowskiego, który się później wślawił książką Strzępy meldunków, nakazem betonowania klozetów na wsi i malowania płotów, na ministra skarbu Gabriela Czechowicza, byłego inspektora podatkowego w Rosji, na ministra sprawiedliwości Mieysztowicza z Wilna, na ministra rolnictwa Niezabytowskiego z Wołynia, na ministra robót publicznych stojącego zawsze na baczność Jędrzeja Moraczewskiego. Mając zupełnie sobie oddane i uległe otoczenie, skarżył się później, że ma wrażenie, iż naród polski jest narodem „idiotów”. Z poprzednich ministrów pozostali w jego gabinecie Bartel jako jego zastępca, Eugeniusz Kwiatkowski, Romocki, Jurkiewicz i Staniewicz. Bartel, zresztą już jako prezes Rady Ministrów, uważał się za polityczne narzędzie Piłsudskiego, oświadczył mi bowiem wyraźnie przy okazji pertraktacji na temat nowej ordynacji wyborczej do Sejmu, że sprawa ta od niego nie zależy, polityką bowiem zajmuje się Piłsudski, a on sam jest „od pracy”. Ta pewność siebie, przesadna wiara w trzynastkę i we własną szczęśliwą gwiazdę, lekceważenie wiedzy fachowej, zdolności organizacyjnych i doświadczenia w organizacji państwa, urzędów i przedsiębiorstw państwowych, obsadzanie najważniejszych posterunków rządowych, bankowych i przemysłowych ludźmi bez kwalifikacji zawodowej i moralnej odbiło się najfatalniej na losach całego państwa.

Piłsudski objął władzę w okresie najpomyślniejszej koniunktury w Polsce i wierzył w to, a tak samo wierzyli jego mamelucy, że tak będzie zawsze, tak musi być, skoro on, ich prorok, rządzi w państwie.

Nastaly jednak czasy mniej pomyślne. Dzięki „radosnej twórczości” bilans handlowy Polski popadł już w 1927 r. w niedobór na sumę 377 mln. a w 1928 r. na sumę 854 mln. zł.

Popierany przez Piłsudskiego formalny kult niekompetencji ogarnął nie tylko sfery rządowe i urzędnicze, ale także sfery sejmowe, literackie i naukowe. Gdy po wyborach w 1928 r. wszedłem do Senatu, marszałkiem tej izby z woli Piłsudskiego wybrany został profesor Antoni Szymański, znany okulista. Nie był on zachwycony fotelem marszałkowskim, bo bez pomocy sekretarza nie dawał sobie rady i nie ukrywał przede mną niezadowolenia z tego stanowiska. Gdy go zapytałem, po co tę godność przyjmował, wyjaśnił mi, że prosił marszałka (Piłsudskiego), aby go zwolnił od tego zaszczytu, ale marszałek się uparł i oświadczył mu: „Ja także na niczym się nie rozumiałem, a teraz – widzisz”.

Rozdział trzeci

Sanacja moralna

Bunt wojskowy i zamach stanu uzasadniał Piłsudski i jego otoczenie koniecznością ścigania „szujów, złodziei i morderców”, zagnieżdżonych rzekomo w rządzie, i przeprowadzenia sanacji moralnej. Wprawdzie dowodów na te łajdactwa i morderstwa nie znalazł, mimo to cel tak wzniosły i tak zrozumiały w państwie, w którym pozostały ślady korupcji urzędniczej w dzielnicach rosyjskiej i austriackiej i rozwieliły się rozmaite nadużycia, znalazł poklask u szerokich warstw cierpiących i cierpliwie znoszących bezprawie i nadużycia. Hasło sanacji moralnej, rzucone przez Piłsudskiego, powtórzone z naciskiem przez premiera Bartla, było niezmiernie popularne i przysłańało swoim dalekim zasięgiem hasło sanacji finansowej, będące podstawą poprzednich kompromisów sejmowych i ostatniego rządu koalicyjnego.

Nic też nie odkrywa tak jaskrawo i tak dosadnie bankructwa moralnego piłsudczyzny, jak ten fakt, że to samo tak piękne i żywotne hasło w ciągu ich rządów bladło stopniowo w oczach społeczeństwa, a w końcu stało się przedmiotem niemal powszechnego pośmiewiska i wzgardy.

Sami zwolennicy sanacji moralnej przestali posługiwać się tym hasłem, aby nie wywoływać wrogiej reakcji u słuchaczy. Dla ogółu społeczeństwa hasło takie, głoszone przez grupę ludzi splamionych bezprawnymi i fałszywymi wyborami, demagogicznymi obietnicami, metodami policyjnymi, łapownictwem i obdzieraniem skarbu publicznego – stało się cyniczną prowokacją i szydzeniem z obywateli. Sanatorzy nie mogli się w końcu pokazywać na zebraniach publicznych, musieli się kryć w ciasnych, zamkniętych kołach osób urzędowych, wójtów i ich wybrańców.

Do takiego stopniowego sponiewierania własnego hasła przyczynił się sam Piłsudski wspomnianym poprzednio kultem niekompetencji i przyznaniem bezwzględnej pierwszeństwa legionistom (rzeczywistym i fikcyjnym), bez względu na wykształcenie i wartość moralną. Sam on zresztą, na jednym ze zjazdów legionistów stworzył mi widoki na wielką karierę dzięki przewrotowi.

Jakoż wnet po przewrocie rozpoczęła się formalna gonitwa legionistów i innych zwolenników Piłsudskiego za posadami. Zrazu wydawało się, że posad tych dla nich nie zabraknie. Rzeczywistych bowiem legionistów, żyjących i zdolnych do pracy, było stosunkowo niezbyt wielu. Stopniowo okazywało się, że liczba dawnych „legionistów” wzrosła kilkakrotnie w wyniku przyłączania się rozmaitych włóczęgów politycznych, którzy pod hasłami: „Niech żyje Piłsudski” i „Precz z endekami”, szukali dla siebie koryta. Przyrost ten był dla grupy sanacyjnej na razie pożądanym, bo ją wzmacniał liczebnie, obciążał jednak obowiązkiem otwierania nowych posad dla ludzi wątpliwej wartości moralnej. Zrazu zadowalano się pensjonowaniem endeków i ludzi podejrzanych o nieprawomyślność, nie wołających: „Niech żyje Piłsudski” i nie potępiających „endecji”. Gdy to nie wystarczało, trzeba było otwierać nowe posady zupełnie niepotrzebne, a jedynie dla zaspokojenia nowych rzesz tak zwanych legionistów szukających posad. Ofiarą tej łapczywości stały się monopole, przedsiębiorstwa państwowe, ubezpieczenia społeczne.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym wszystkich legionistów i piłsudczyków oceniał na równi. Przeciwnie – znam osobiście takich legionistów, nawet członków pierwszej brygady Piłsudskiego, którzy ze wstrętem odwrócili się od tej ohydy moralnej i poświęcili się pracy samodzielnej.

Wyścig pracy, jakiego potrzebę uznawał po wojnie Piłsudski, stał się w jego obozie wyścigiem o posady państwowe i o intratne stanowiska w monopolach i przedsiębiorstwach państwowych. Wyścig ten ogarnął wszystkich – wielkich i małych. Ministrowie uchwalili sobie w swoim Sejmie pełną emeryturę po jednorocznym urzędowaniu, przy równoczesnym obniżeniu emerytur urzędniczych, i oglądali się za dodatkowymi synekurami w zakładach państwowych. Nawet minister sprawiedliwości Michałowski nie wstydził się zarezerwować dla siebie prócz swojej pensji posady pisarza hipotecznego z dochodem kilkuset tyś. zł. Generałowie i pułkownicy sanacyjni zapominali o obowiązku kształcenia się i doglądania służby oraz o kontroli magazynów państwowych, bo więcej możliwości otwierała przed nimi arena polityki, posad i synekur. Oto klucz do wyjaśnienia przebiegu i rezultatów ostatniej wojny.

Obok systematycznej grabieży Polski sanacja czuwała troskliwie nad zabezpieczeniem swojej władzy na najdalszą przyszłość zarówno ze względu na korzyści czerpane z rządu, jak i dla uniknięcia odpowiedzialności w razie objęcia władzy przez siły praworządne i niezależne od nich. Stąd pochodziło szereg posunięć prawodawczych, sądowych i administracyjnych, które miały być asekuracją dla rządów sanacji.

Zebrano się najpierw do zmiany konstytucji celem stworzenia podstawy prawnej dla całego systemu. Przez dziesięć lat dyskutowano w swoich kołach, projektowano i projekty ucinano, aby zadowolić Piłsudskiego, dla którego przeznaczono stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej, odpowiedzialnego tylko przed Bogiem i historią. Ale zaledwie zdołano taki projekt konstytucji opracować i uchwalić, Piłsudski zmarł, po czym sanacja nie wahała się uchwalić ordynacji wyborczej zupełnie niezgodnej z demokratycznymi zasadami tej samej konstytucji, aprobowanymi przez Piłsudskiego.

Tak dla utrzymania się przy władzy sanacja pogwałciła własną konstytucję, która miała być zapowiedzią praworządności na przyszłość. Wybory do Sejmu przeprowadzono w sposób rozbójniczy, fałszując wyniki i fingując sztucznie udział wyborców, którzy w ogromnej większości uchylili się od głosowania.

Sanacja dopuściła się nowego pogwałcenia swej konstytucji, ustanawiając Rydza-Śmigłego „marszałkiem Polski”, współrządzającym z prezydentem Rzeczypospolitej. Gdy sędziwy generał Żeligowski wytknął to komisji wojskowej, pozbawiono go bezprawnie godności jej przewodniczącego, a następnie, przy okazji wyborów, mandatu poselskiego. Wybitny udział w tych bezprawiach mieli marszałkowie Sejmu i Senatu.

Sanacja „moralna” swymi bezprawnymi wyborami, nadużyciami urzędników, niesprawiedliwionymi wyrokami sądów, samowolą administracji, korupcją i sprzedajnością pozostawiła straszliwe spustoszenie w duszach społeczeństwa, budząc wśród warstw ludowych niechęć do państwa i niszcząc ich radość z odzyskanej wolności oraz zaufanie do władz państwowych. Dzisiaj, patrząc na naród i kraj w niewoli, niechaj widzi w tym własne swoje dzieło.

Największą chlubą sanacji było podniesienie Polski do godności „mocarstwa”. Dogadzało to bezmiernej pysze Piłsudskiego, który jak monarcha otaczał się ambasadorami mocarstw, chociaż nie przyjął mandatu prezydenta Rzeczypospolitej. Dogadzało to także jego przyjaciółom, łasym na dostojęstwa, posady i ordery. Jaką była ta mocarstwowość faktycznie, okazało się w czasie wojny. Sanatorom wydawało się, że wystarczy firma mocarstwowości, aby powagę i potęgę Polski wnieść na wyżyny. Ów wspomniany już wojewoda lwowski Biłyk, zaprosiwszy przedstawicieli wszystkich stronnictw, narodowości i organizacji społecznych we Lwowie do udziału w propagowaniu i subskrybowaniu pożyczki wojennej, wygłosił przemówienie do licznego grona zaproszonych, podkreślając gotowość Anglii i Francji przyjścia Polsce z pomocą w razie wojny z Niemcami, nie wahając się jednak przed publicznym wytknięciem tym

mocarstwom przymilania się do potęgi Polski. Polska – mówił - „jest tak potężna, że w obliczu niebezpieczeństwa garną się do niej rozmaite państwa, żadne jej pomocy”.

Jakaś mania wielkości, szal prawdziwy opętał tych ludzi, którzy wmawiali w siebie i w innych, że Piłsudski zbawił Polskę i podniósł ją do rangi mocarstwa. Kierownicy sanacji nie poprzestawali na swej zbrodniczej działalności i usiłowali przerobić duszę społeczeństwa, w szczególności młodzieży, wedle swojej modły, czyli wedle „ideologii” Piłsudskiego. Temu celowi służyła propaganda prezentująca Piłsudskiego, jako nadczłowieka oraz zbawcę Polski i wychowanie młodzieży w tym samym duchu. Podręczniki szkolne, bez względu na nowy ciężar złożony na społeczeństwo, zostały przerobione przez autorów oddanych całą duszą „ideologii”. Życie i dzieła Piłsudskiego musiały być w podręcznikach odpowiednio traktowane i ubarwiane. Pamiętne dni z jego życia musiały być corocznie uroczyste obchodzone.

Wszelka krytyka tej działalności była surowymi karami zagrożona, jako obraza nie tylko zbawcy Polski, ale całego narodu polskiego. Już ustawy tego rodzaju dowodziły, że nie chodzi im wcale o zdobycie duszy narodu, lecz o formalne zgniecenie wszelkiej krytyki. Nawet do uroczystych obchodów narodowych i państwowych wprowadzili carskie zwyczaje. Nadaremnie protestowałem w formie interpelacji poselskiej przeciw przymusowi dekorowania domów, ulic i placów publicznych, co podkopuje w społeczeństwie żywe poczucie patriotyzmu, bez którego takie obchody nie mają wartości.

Szczytem zuchwalstwa i zbrodniczej zapamiętałości tych „nieśmiertelnych” władców było ich partyjne zachowanie się przed wojną i powołanie przy pomocy podwładnego im narzędzia, jakim był prezydent Rzeczypospolitej, marszałka Rydza-Śmigłego na rzeczywistego Naczelnego Wodza w wojnie.

Opinia fachowych kół wojskowych wskazywała na dwóch generałów jako godnych tego stanowiska: na Kazimierza Sosnkowskiego i Władysława Sikorskiego. Kazimierz Sosnkowski był ministrem wojny w czasie konfliktu z bolszewikami i z Władysławem Sikorskim, zwycięzcą nad rzeką Wkrą, powstrzymali uderzenie bolszewików na Warszawę, wsparci działalnością armii ochotniczej pod wodzą Józefa Hallera. Mężowie ci byli istotnymi obrońcami ojczyzny w czasie, gdy wódz naczelny Piłsudski popadł w moralne przygnębienie, myślał o samobójstwie i podał się do dymisji.

Naczelnym Wodzem został więc Rydz-Śmigły. Co człowiek ten robił jako Wódz Naczelny, nie wiemy. Od połowy marca było powszechnie wiadomo, że wojna wybuchnie, że Hitler przesuwając swe armie coraz bliżej Polski. Co robiło dowództwo polskie w tym czasie? Mówiono wiele o mobilizacji, o fortyfikowaniu granic itd., ale po wybuchu wojny w dniu 1 września granice nasze, Śląsk, Kraków, Centralny Okręg Przemysłowy, Lwów i cała Polska okazały się terenem otwartym dla nieprzyjacielskich samolotów, tanków i armii. Nie jestem wojskowym i nie myślę spraw tych bliżej rozważać i oceniać. Na życzenie moich przyjaciół politycznych znalazłem się na granicy Rumunii w chwili, w której mi powiedziano, że właśnie granicę tę przekroczyli panowie ministrowie polscy i Naczelny Wódz armii polskiej Rydz-Śmigły. Jakże ciężko i boleśnie zakończyła się tragedia sanacyjna!

Nie mogłem pójść śladami tych panów, powróciłem do mego Lwowa, aby tu na własnej zginąć ziemi lub wyczekiwać dalszych losów Polski.

Rozdział czwarty

Wybory sejmowe. Brześć i Bereza.

Rugi profesorskie

Sanacja staczała się w otchłań moralną powoli, wraz z konsumpcją władzy i jej korzyści, nabierając coraz większego rozmachu, dopóki nie stworzyła całego systemu rządów opartych na gwałcie, bezprawiu i obłudzie. Sam Piłsudski pragnął utrzymania form demokratycznych jako najdogodniejszych dla autokracji. Po zamachu pozostał więc jeszcze przez blisko dwa lata Sejm i Senat, które były wybrane w 1922 r.

Dopiero 4 marca 1928 r. odbyły się pierwsze wybory sejmowe za rządów sanacyjnych, przy zastosowaniu terroru policyjnego, gwałtów i fałszów wyborczych, które na ogólną liczbę 444 dały klubowi rządowemu (BBWR) 125 mandatów, a zatem 28 proc. mandatów sejmowych. Zwycięstwo to, drogo okupione, było głównie rabunkiem mandatów dokonany na klubie narodowym i na Polskim Stronnictwie Ludowym, które tworzyły trzon dawnej większości. Klub narodowy spadł z 98 mandatów na 37, Polskie Stronnictwo Ludowe „Piaś” z 70 posłów na 21. Podobny spadek nastąpił w klubach senackich i w klubach sejmowych zbliżonych do bloku narodowego. Natomiast obok klubu rządowego triumfowały jeszcze dwa kluby: klub socjalistyczny, który współdziałał w dokonaniu zamachu i wzrósł z 41 mandatów do 65, i mniejszości narodowych, które bez sprzeciwu ze strony „silnego rządu” połączyły się pod przewodnictwem bloku żydowskiego w jeden blok o charakterze antypaństwowym i otrzymały razem 65 mandatów. Mniej wprowadzi, niż posiadały razem poprzednio (89), ale za to stały się jedynymi przedstawicielami Wołynia i Polesia. Rezultat taki nie zadowolili rządu i już za dwa lata trzeba było wybory ponowić przy zaostrzonych metodach terroru i fałszerstwa. Jakoż w 1930 r. klub rządowy uzyskał 247 mandatów sejmowych, czyli większość absolutną, niezdołną jednak do uchwalenia zmiany konstytucji. Równocześnie nastąpiły zmiany dla rządu niekorzystne w innych grupach poselskich.

Przede wszystkim oprzytomniała nieco inteligencja narodowa i ludowa i mimo terroru dała klubowi narodowemu 62 mandaty. Przeciwnie klub socjalistyczny, który zerwał był z rządem, doświadczył skutków swej opozycji w ten sposób, że został zredukowany z 65 mandatów do 24. Zjednoczone zaś stronnictwa ludowe „Piaś”, „Wyzwolenie” i „Chłopskie” z 87 mandatów na 48 mandatów łącznie.

Nowe wybory przeprowadzone po dwóch latach nie zmieniły już tego stosunku sił ugrupowań. Klub rządowy pozostał w 1933 r. przy swoich, przeważnie zrabowanych, 247 mandatach, klub narodowy zdobył jeden mandat więcej, socjaliści spadli o jeszcze jeden mandat niżej, stronnictwa ludowe straciły 6 mandatów na rzecz sanacji chłopskiej. W Senacie nastąpiła korzystna zmiana na rzecz klubu rządowego (75 mandatów) i narodowego (12 mandatów).

Te zmiany w ugrupowaniach klubów sejmowych, spowodowane sanacyjnymi wyborami, wyjaśniają, skąd się wzięły wojownicze nastroje w dwóch głównych obozach – w obozie rządowym, który mimo gwałtów, przekupstw, fałszów, nie mógł doprowadzić do większości potrzebnej do zmiany konstytucji, i w obozie ludowo-socjalistycznym, który w swojej całości po raz pierwszy w tak jaskrawy sposób doznał próby wyborczych praktyk rządowych.

Reakcja przeciw bezprawnym wyborom i praktykom rządu, jaka się następnie objawiła w znanej odezwie tego obozu, była zupełnie naturalna i uzasadniona, odpowiadała też nastrojom całego niezależnego społeczeństwa polskiego. Ale ludzie ci, którzy za pomocą buntu oddziałów wojskowych i napadu na stolicę państwa doszli do władzy, zaniepokoił się odezwą, mając sami nieczyste sumienie. Mieli zresztą dobrą

sposobność wykazania swej siły na bezbronnych przywódcach opozycji i wyrażenia swoich uczuć dla społeczeństwa, które okazało się tak „oporne” przy wyborach.

W ten sposób urodził się ów „Brześć”, potępiany przez cały naród, ze światem naukowym na czele, Brześć, który pozostanie na zawsze symbolem rządów sanacyjnych jako akt gwałtu, dzikości, bezprawia, sankcjonowany przez sterroryzowanych i skorumpowanych partyjnych sędziów. Jeden tylko sędzia okazał się niezależny i protestował przeciwko wyrokowi swoich kolegów. Nazywał się Leszczyński i niechaj to piękne, historyczne nazwisko przejdzie do potomności. Byłem w tym sądzie przesłuchiwany jako świadek. Świadczył po mnie także Władysław Seyda, były prezes klubu parlamentarnego w Berlinie, w Polsce prezes Sądu Najwyższego, bezprawnie usunięty z tego stanowiska – mąż w każdym calu sprawiedliwy. Świadczyli i inni znakomici prawnicy i politycy. Nic jednak nie zdołało powstrzymać wyroków, które były wydane już przed rozprawą.

Mężowie zasłużeni dla narodu i państwa, z byłym premierem Witosem na czele, zostali skazani za to, że złożyli protest przeciwko gwałtowi i bezprawiu w Polsce, za to, że ich bez śledztwa i sądu wywieziono do Brześcia, że ich bito, katowano i znieważano, że bronili prawa, sprawiedliwości, godności i honoru Polski. Znaleźli się prokuratorowie, którzy z całą bezczelnością i zawziętością mężów tych oskarżali, a nie zapytali sami siebie, dlaczego nie oskarżają sprawców bezprawia, dlaczego nie żądają kary surowej na tych, którzy gwałcili wolność obywateli, wywozili, katowali i znieważali mężów Polsce zasłużonych?

Nie wymieniam tu nazwisk tych prokuratorów i sędziów wszystkich trzech instancji, którzy tak ciężką krzywdę wyrządzili sprawiedliwości i Polsce, ponieważ jestem przekonany, że znajdują się ich potomkowie, którzy tę krzywdę kiedyś Ojczyźnie naprawią, pracując sumiennie dla Polski sprawiedliwej i naprawę chrześcijańskiej.

Pomimo oburzenia, jakie sprawa Brześcia wywołała w całym kraju, a częściowo także za granicą, sanacja nie wahała się w dalszym ciągu naruszać konstytucyjnych praw obywatelskich. Rozwiązano Obóz Wielkiej Polski, poświęcony wyłącznie sprawie obrony i wielkości Ojczyzny, a dla gorących patriotów, szczególnie dla młodzieży narodowej, urządzono obóz wygnańców na Polesiu w Berezie Kartuskiej. O wysłaniu do obozu i kilkumiesięcznym pobycie w nim decydowała wola sanacyjnych starostów. W atmosferze podejrzeń i donosów, ściśle związanej z systemem rządów sanacyjnych, nikt nie był pewny wolności i zdobytego stanowiska, bo mógł niespodzianie, bez dochodzeń i sądu dostać się do Berezy. Na to zeszła w Polsce stara zasada: *Neminem captivabimus nisi iure v i c t im*.

Władze sanacyjne postanowiły ukarać tych profesorów uniwersytetów i innych szkół akademickich, którzy ośmielili się potępić zbrodnię brzeską i podpisali odezwę do władzy ustawodawczej. W tym celu wymyślono reformę ustawy o szkołach akademickich, dającą między innymi ministrowi wyznań i oświecenia uprawnienie znoszenia zbędnych katedr i kreowania nowych. W normalnych warunkach nie można by się sprzeciwiać takiemu postanowieniu ustawy jako zgodnemu z potrzebami i rozwojem szkolnictwa wyższego. Ale intencja rządu była zbyt wyraźna i dlatego sprzeciwiłem się w Senacie takiej reformie, motywując sprzeciw obawą, że chodzi w niej o usunięcie z katedr ludzi niemiłych ministrowi, a naukowo wysoko stojących. Pan minister oświaty nie wahał się stanowczo zaprzeczyć, jakoby miał podobne intencje, ale skoro tylko ustawa została uchwalona, przystąpił do usuwania profesorów pod pozorem zniesienia katedr. W ten sposób w krótkim czasie zwinięto wielką liczbę katedr i ogołocono wyższe zakłady naukowe z wielu znakomitych sił profesorskich, chociaż Polska nie posiada zbytku tego rodzaju sił i w wielu działach musi je dopiero wychowywać i kształcić.

Rozdział piaty

Walka o legalizację dyktatury

Po dokonaniu zamachu Piłsudski mógł się ogłosić dyktatorem. Jego zwolennicy, Żydzi i socjaliści, triumfowali w całym kraju, społeczeństwo było znużone ciągłymi walkami w Sejmie, wielu wierzyło w zarzuty głoszone przez Piłsudskiego i oddaną mu prasę, ogólnie pożądanym było pokój i stałego rządu. Wybór prezydenta Rzeczypospolitej wykazał, że także w Sejmie przeważało pragnienie pokoju bez względu na to, co się stało. Ale Piłsudski nie przyjął wyboru na prezydenta, bo w danych warunkach nie chciał się „męczyć i łamać”. Nie chciał także ogłosić się dyktatorem, bo nie chciał przyjmować odpowiedzialności za rządy. Dla niego wygodniejsze było stanowisko człowieka decydującego o wszystkich ważnych sprawach za kotarą, bez osobistej odpowiedzialności, bo w każdej chwili mógł tę odpowiedzialność przerzucić na rząd, na Sejm i na pewnych ludzi wedle swego uznania. Gdy jako Naczelnik Państwa bez wiedzy i woli Sejmu i rządu zawarł był nieprawie tajny układ z Petlurą o wojnie przeciwko Rosji i wbrew Paderewskiemu, jako prezesowi Rady Ministrów, wzbraniał się rozpocząć z Rosją sowiecką rokowania o pokój i wschodnią granicę Polski, przeprowadził swą wolę poza Sejmem i społeczeństwem w ten sposób, że bez ich wiedzy skłonił Paderewskiego do złożenia swego urzędu.

„Kiedy Pan przybyłeś do Warszawy – mówił wówczas do Paderewskiego – ja byłem malutki, a Pan byłeś w obłokach. Dzisiaj jest przeciwnie. Ja jestem w obłokach, a Pan spadłeś na ziemię. Jeżeli jednak Pan będziesz się upierał przy rządzie i nie zażadasz natychmiastowej dymisji, to ja Panu powiadam, że wkrótce będziesz leżał w kałuży błota”.

Rozmowa ta, podana tu wedle osobistej, poufnej relacji Paderewskiego, podziałała na subtelny, szlachetny umysł wielkiego patrioty i artysty w znany sposób – podał się do dymisji, a skryty za obłokami Piłsudski pozostał za nimi, wolny od wszelkiej odpowiedzialności.

Nadto Piłsudski, jako socjalny demokrat, przywiązany był do form demokratycznych jako pozorów przemawiających do uczucia tłumów i budzących u nich zaufanie do przywódców. Pozornie więc po zamachu Piłsudskiego nic się w Polsce nie zmieniło. Sejm i Senat pozostały na swoim miejscu. Rząd Bartla urzędował przez 6 miesięcy bez większej zmiany (kierownika resortu wyznań i oświaty zastąpił minister Sujkowski). W Sejmie podjęto wprowadzić prace nad reformą Konstytucji marcowej w celu wzmocnienia stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej, ale wnioski rządowego stronnictwa zbiegły się z takimi wnioskami Związku Ludowo-Narodowego i innych klubów prawicy i centrum ludowego i nie wychodziły zasadniczo poza nie. Powrócono do wniosków stawianych, ale przegłosowanych już w marcu 1921 r. w innej nieco formie, ale w tej samej intencji wzmocnienia rządu, zniesienia przywileju nietykalności posłów za działalność poza Sejmem, przywrócenia równowagi między władzą prawodawczą a rządem.

Wnioski Związku Ludowo-Narodowego szły teraz nieco dalej. Żądano powołania nowej, opiniotwórczej instytucji w formie Rady Stanu, uprawnienia prezydenta nie tylko do rozwiązywania Sejmu, ale i do zawieszania uchwał sejmowych (na trzy miesiące), oraz do wydawania w przerwach prac Sejmu dekretów. Żądano przyznania Sejmowi prawa instytucji prawodawczej, określenia terminu załatwiania budżetu w izbie sejmowej do siedemdziesięciu pięciu dni, a w Senacie do dwudziestu pięciu dni.

W Komisji Konstytucyjnej przewodniczył dalej profesor Gąbiński, referował Chaciński

z Chrześcijańskiej Demokracji, obaj w duchu przychylnym dla reformy konstytucji. W ten sposób uchwalono częściową zmianę konstytucji z 2 sierpnia 1926 r. przeciw tym stronnictwom, które już w 1921 r. robiły największe trudności w uchwaleniu konstytucji i miały za sobą cichą aprobatę Naczelnika Państwa, działającego zawsze „w obłokach”. Można więc było rzucić pytanie, po cóż był potrzebny ów zamach, skoro można było bez niego przeprowadzić zmianę konstytucji na rzecz wzmocnienia władzy prezydenta i rządu?

Odpowiedź na to pytanie jest łatwa. Piłsudski był w duchu i w zamiarach swoich autokratą. On już w roku 1921 nie chciał wcale konstytucji. Zadowalał się „deklaracją konstytucyjną”, jakimisź pozorami konstytucyjnymi, nie kępującymi głowy państwa w jego działalności. Chodziło mu nie o „równowagę” między Sejmem, prezydentem a rządem, ale o pełnię władzy przy zachowaniu pozorów demokratycznych. Stąd reforma w roku 1926 wcale go nie zadowoliła, nie skłoniła go wcale do wyjścia z rezerwy, skutkiem czego grupa sanacyjna stanęła przed koniecznością rozwiązania trudnego zagadnienia takiej zmiany konstytucji, która by zapewniła Piłsudskiemu faktyczną dyktaturę przy zachowaniu pozorów demokracji.

Walka o „silny rząd” zamieniła się w walkę o legalną dyktaturę. Walka ta stała się nieszczęściem Polski. Nie chodziło w niej wcale o zasady ustrojowe, jakie równocześnie były dyskutowane i wprowadzane w krajach autorytetów – we Włoszech, Niemczech, Austrii, Portugalii. Chodziło o zadowolenie człowieka, który nie chciał się „męczyć i łamać” w ustroju konstytucyjnym, nie chciał brać na siebie żadnej odpowiedzialności za rządy, ale chciał być popularny i rządzić samowładnie.

Takim zamiarom przeciwstawiła się ogromna większość narodu. Trzeba więc było stworzyć fikcję woli większości przez fałszywe wybory, drażniące i oburzające społeczeństwo, aby zapewnić w reprezentacji narodowej formalną większość potrzebną do podjęcia uchwały konstytucyjnej. Ta oburzająca prowokacja praworządnych uczuć narodu, to niegodziwe krzewienie buntu przeciw państwu wśród najszerzych warstw społeczeństwa odbywało się dwukrotnie, aby na koniec stworzyć fikcję większości sejmowej i fikcję uchwały konstytucyjnej, nazwanej i ogłoszonej jako Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z 23 kwietnia 1935 r., oraz nowej ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu z 8 lipca 1935 r.

Wybory do Sejmu i Senatu przeprowadzone z końcem 1928 r. przy użyciu policyjnego terroru i fałszów wyborczych dały sanacji względną większość, zbyt słabą, aby mogła liczyć na zmianę konstytucji w duchu autokratycznym. Posłowie rządowi, „wybrani” na rozkaz starostów i innych dygnitarzy rządowych, związali się w „Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem” (BBWR) i już w lutym 1929 r. przedłożyli w Sejmie projekt zmiany konstytucji, opracowany i referowany przez byłego członka socjalnej demokracji w Królestwie Polskim Wacława Makowskiego, profesora prawa kryminalnego, a później państwowego w Warszawie. Już w tym projekcie znajdowały się zarodki wniosku, które w późniejszym Sejmie stały się podstawą uchwalonych „tez konstytucyjnych”.

Makowskiego więc, łącznie z premierem Sławkiem, bliskim towarzyszem Piłsudskiego i gorącym zwolennikiem rządów „elity”, uważać musimy za duchowych twórców sanacyjnej konstytucji z 1935 r. Wedle projektu Makowskiego miały być przeprowadzone zmiany w Konstytucji marcowej głównie w odniesieniu do kompetencji prezydenta Rzeczypospolitej przez uznanie go za „najwyższego przedstawiciela władzy w państwie polskim” i przez ograniczenie praw Sejmu i rządu na rzecz prezydenta. Prezydent miałby otrzymać stanowisko niezależne od Sejmu i Senatu przez wybór w głosowaniu powszechnym, miałby samoistną władzę prawodawczą obok izb prawodawczych i prawo inicjatywy prawodawczej, prawo zawieszania uchwał sejmowych (weta), powoływania jednej trzeciej senatorów i pociągania rządu do odpowiedzialności. Projekt ten już w Komisji Konstytucyjnej nie uzyskał większości, wskutek

czego, Sejm w 1930 r. został rozwiązany, a metody wyborcze sanacji przy nowych wyborach zostały zaostrzone.

BBWR wyszedł z tych wyborów liczebnie wzmocniony, ale jego większość była niedostateczna dla uchwalenia konstytucji. Zdwojono więc zabiegi dla pozyskania klubów lewicowych i zdemoralizowania słabszych członków innych klubów. W marcu 1931 r. klub rządowy wniósł w Sejmie ponownie dawniejszy swój projekt, w Komisji Konstytucyjnej już przed rokiem przedyskutowany i odrzucony, z drobnymi poprawkami jako nowy projekt konstytucji. Posunięcie to wywołało w klubach opozycyjnych takie oburzenie, że postanowiono się uchylić od dyskusji, pozostawiając ją samemu klubowi rządowemu. Z tej absencji klub rządowy po kilku latach skorzystał w sposób podstępny. Na razie klub ten postanowił obradować nad poszczególnymi częściami projektu celem sformułowania wyników obrad w osobnych tezach, które referował marszałek Car jako referent generalny. Nowe myśli, jako wytyczne przyszłej konstytucji, wniósł pułkownik Walery Sławek na zjeździe legionistów w Warszawie w sierpniu 1933 r., jako prezes bloku bezpartyjnego. Według niego prezydent winien mieć władzę jedną i niepodzielną, a pod jego kierownictwem znajdować się muszą organa władzy, przeznaczone do spełniania poszczególnych zadań. Sławek odrzucał ustrój dyktatury, oświadczył się jednak za rządami „elity” jako klasy rządzącej u boku prezydenta. Organem tej klasy miał być Senat, wybierany w dwóch trzecich przez kadry ludzi zasłużonych, w jednej trzeciej mianowany przez prezydenta. Pierwszą elitę mieli tworzyć kawalerowie „Virtuti Militari” i „Krzyża Niepodległości”. Senat miał być zrównany w prawach z Sejmem. Projekty Sławka odpowiadały niezawodnie życzeniom Piłsudskiego.

Takimi drogami doszły do skutku owe „tezy konstytucyjne” referenta generalnego Cara, które wbrew przepisany formalnościom prawnym zostały w nieobecności posłów opozycyjnych, mimo protestu jednego z posłów (Stanisława Strońskiego), bez dyskusji przemianowane na „ustawę konstytucyjną” uchwalone w Sejmie 26 stycznia 1934 r. z wielkim pośpiechem, zanim mogli zdążyć nieobecni posłowie do sali posiedzeń. Blok rządowy był dumny ze swego powodzenia i obwieścił całemu krajowi o uszczęśliwieniu go nową konstytucją, chociaż do uchwały potrzebna jest jeszcze zgoda Senatu. Sztuczki takie, niegodne powagi ciała prawodawczego i wielkiej sprawy konstytucyjnej, nie przyniosły korzyści sanacji ani błogosławieństwa państwu. Tylko w niezdrowej atmosferze politycznej sanacji moralnej mogły takie metody ująć bezkarnie. Patronowali im, niestety, z całym zapalem marszałkowie Sejmu i Senatu.

Nowa konstytucja z 23 kwietnia 1935 r. pozostawiła prezydenta na czele państwa, skupiła w jego osobie jednolitą i niepodzielną władzę państwową, włożyła nań odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy państwa, a za obowiązek naczelny poczytała troskę o dobro państwa, o gotowość obronną i o odpowiednie miejsce wśród narodów świata. Jak prezydent wywiązał się z tych obowiązków, dowiedzieliśmy się dopiero w czasie wojny. Wszystkie inne władze: rząd, Sejm, Senat, siły zbrojne, sądy, kontrola państwowa, figurują w konstytucji jako „Organy państwa, pozostające pod zwierzchnictwem prezydenta Rzeczypospolitej”. O jednym zapomniano, a raczej nie chciano pamiętać, o narodzie. Chlubiono się tym, że nową konstytucję oparto na polskich rodzimych pierwiastkach i tradycjach. A przecież Konstytucja 3 Maja stanowiła: „Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu”. Podobne postanowienia zawierała także Konstytucja marcowa. Również obce konstytucje uznają naród jako źródło władzy. Nawet Konstytucja ZSRR z 5 grudnia 1926 r. postanawia, że Rada Najwyższa, będąca naczelnym organem republiki związkowej, zasięgać winna opinii całego narodu (referendum) z własnej inicjatywy lub na żądanie jednej z republik związkowych (art. 49). W naszej konstytucji nie dopuszczono nawet wzmianki o narodzie. Z całą zawziętością

bronił tego Wacław Makowski. Na moje uwagi replikował: „Naród to pojęcie fikcyjne, coś nieokreślonego”.

Nie było dla nich jednak fikcją pojęcie państwa jako „wspólnego dobra wszystkich obywateli [...] przekazywanego w spadku dziejowym z pokolenia na pokolenie” ani pojęcia „pokolenia”, „dobra powszechnego” lub odpowiedzialności prezydenta „wobec Boga i historii”. Naczelną i niepodzielną władzę prezydenta obmurowano przez organizację Senatu i jego uprawnienia. Senat składa się w jednej trzeciej z senatorów powołanych przez prezydenta, w dwóch trzecich zaś jest wybierany przez „elitę” określoną w ordynacji wyborczej do Senatu. Wedle ordynacji z 8 lipca 1935 r. prawo wybierania do Senatu mają z tytułu zasług obywatele odznaczeni orderami, z tytułu wykształcenia obywatele z ukończoną szkołą wyższą, zawodową oraz oficerowie, z tytułu zaufania obywatele członkowie rad samorządowych i zarządów miejskich oraz organizacji gospodarczych i zawodowych, a także przewodniczący zarządów kół w stowarzyszeniach użyteczności publicznej. Wybory te jednak nie są bezpośrednie, lecz pośrednie, za pośrednictwem delegatów wybieranych do wojewódzkich kolegiów wyborczych. Nie ulega wątpliwości, że przy takim składzie Senatu prezydent ma wpływ decydujący na jego uchwały. Prezydent ma także wpływ na wyznaczanie swego następcy. Kandydata na prezydenta wybiera zgromadzenie elektorów złożone z pięćdziesięciu elektorów Sejmu i dwudziestu pięciu Senatu. Głosowanie na listy następuje tylko wtedy, kiedy ustępujący prezydent oświadczy, że nie zamierza korzystać z prawa wskazania kandydata. Jeżeli jednak prezydent wskaże innego kandydata niż zgromadzenie elektorów, wtedy głosowanie powszechne obywateli decyduje między oboma kandydatami. W razie wojny prezydent osobnym aktem wyznacza swego następcę, na wypadek opróżnienia się urzędu przed zawarciem pokoju.

Wszystkie te prawa i inne przywileje prezydenta Rzeczypospolitej były przeznaczone dla Józefa Piłsudskiego, który już nie mógł z nich korzystać. Bóg pozwolił mu umrzeć w chwale, zanim mógł oglądać spustoszenie i krzywdę, jakie rządy jego i sanacji wyrządziły narodowi i Rzeczypospolitej.

Rozdział szósty

Nowa ordynacja wyborcza do Sejmu i Senatu

Ordynacja wyborcza do Sejmu i Senatu z 8 lipca 1935 r. oraz wybory do Sejmu przeprowadzone na jej podstawie przyspieszyły ostatecznie kompromitację obozu sanacyjnego i wykazały jego nielojalność nawet w stosunku do uchwalonej przezeń nowej konstytucji i do nieżyjącego już Józefa Piłsudskiego.

Po wyborach w sposób nikczemny przeprowadzonych, sam przywódca tego obozu Walery Sławek, za konieczne uznał zwinięcie całego obozu i zniszczenie wszystkich jego papierów, dokumentów, jako widomych świadków popełnionych zbrodni.

Konstytucja kwietniowa postanowiła najwyraźniej, że „Sejm składa się z posłów, wybranych w głosowaniu powszechnym, tajnym, równym i bezpośrednim”. Postanowienia te były zgodne z Konstytucją marcową z tą różnicą, że odpadł wymóg głosowania stosunkowego. Nikt nie wątpił w lojalne wykonanie tego postanowienia – tym bardziej, że było ono popierane również przez samego Piłsudskiego. Ordynacja wyborcza do Sejmu miała tylko ustalić podział państwa na okręgi wyborcze, określić liczbę posłów, unormować postępowanie wyborcze, tudzież oznaczyć kategorie osób pozbawionych prawa głosowania z braku dostatecznych przymiotów moralnych lub umysłowych (art. 32 i 33, ust. 3).

W odróżnieniu od wyborów sejmowych konstytucja pozostawiała ordynacji wyborczej do Senatu nie tylko określenie liczby senatorów i kategorii osób, którym przysługuje prawo wybierania i wybieralności, ale także określenie sposobu ich powołania. Jakież tedy było nasze zdumienie, gdy po śmierci Piłsudskiego wniesiono projekt sejmowej ordynacji wyborczej, w którym zupełnie zignorowano postanowienia konstytucji o wyborze posłów w głosowaniu powszechnym, tajnym, równym i bezpośrednim, a w jego miejsce wprowadzono wybory pośrednie przez kandydatów na posłów wybieranych w każdym okręgu wyborczym przez zgromadzenie okręgowe. Dla każdego człowieka obeznanego z demokratycznym systemem powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania jest rzeczą jasną, że system proponowany w nowej ordynacji nie jest ani powszechny, ani równy, bezpośredni i tajny, że jest jaskrawie sprzeczny z Konstytucją kwietniową i wolą Piłsudskiego. Znaleźli się wprawdzie senatorzy broniący swego interesu, ale żaden uczciwy znawca prawa politycznego nie mógł przyznać im racji. obrońcy takiego systemu wyborczego dawali w Sejmie i w Senacie tak cyniczne odpowiedzi, że zbyt wyraźnie przemawiała z nich zła wola i przewrotność.

Cały świat dzisiaj rozumie dobrze, na czym polega system powszechnych, równych, tajnych i bezpośrednich wyborów, a argumenty niefortunnych obrońców własnego partyjnego podwórka nie przynoszą im chluby. Notoryczni gwałciciele prawa i Konstytucji marcowej zapewniali głośno, że od nowej konstytucji zacznie się pełne poszanowanie prawa.

Redakcja poważnego pisma naukowego „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” zwróciła się z początkiem roku 1939 do profesorów prawa politycznego i wybitnych polityków o wydanie naukowej opinii co do zgodności lub sprzeczności ordynacji wyborczej z konstytucją. I cóż się okazało? Profesor Waław Makowski, główny twórca duchowy Konstytucji kwietniowej, uchylił się od odpowiedzi. Były premier, profesor Bartel odpowiedział wymownie, choć lakonicznie: „Oświadczam, że reformę tę uważam za konieczną i że zwlekanie z jej przeprowadzeniem uważałbym za szkodliwe ze stanowiska interesu publicznego. Jestem przeciwnikiem pluralności”. Docent Andrzej Mycielski odpowiedział krótko, bez żadnych argumentów: „Istotnej sprzeczności między ordynacją wyborczą a Konstytucją kwietniową nie dostrzegam”. Podobnie lakonicznie wyraził się inny zwolennik sanacji profesor Maciej Starzewski. Panowie ci byli głusi i ślepi na argumenty reszty świata naukowego i politycznego, profesorów: Stanisława Starzyńskiego, Komorowskiego, Winiarskiego, Ehrlicha, Derynga, Cezarego Berzowskiego, Władysława Maliniaka, który równocześnie stwierdzał, że Józef Piłsudski był stanowczym przeciwnikiem zmiany dawnej ordynacji wyborczej do Sejmu, Edwarda Dubanowicza, Stanisława Strońskiego. Spośród polityków jedynie były marszałek Sejmu Maciej Rataj nie wysunął argumentu niezgodności ordynacji i konstytucji...

Bezprawna ordynacja wyborcza do Sejmu w związku ze znanymi metodami rządu sanacyjnego w przeprowadzaniu wyborów była taką prowokacją dla stronnictw niezależnych od rządu, że postanowiły uchylić się od udziału w wyborach. Ogólne oburzenie objawiło się w sposób jaskrawy szczególnie w miastach. Komisje wyborcze urzędowały w pustych salach. Pomimo „poprawek” wedle statystyki urzędowej w Warszawie głosowało zaledwie 29,4 proc., a w województwach centralnych zaledwie 39,1 proc. uprawnionych wyborców. Wedle tej samej statystyki tylko w województwach wschodnich głosowała ponad połowa wyborców (59,5 proc.). Wiadomo jednak, w jaki sposób na kresach wschodnich odbywają się wybory ludu nie mającego dojrzałości politycznej.

Tak fatalny sukces sanacji zamiast przyprowadzić ją do przytomności i odwieść od dalszego deptania praw wyborczych, rozjątrzył ją jeszcze bardziej; zacierzawił. W nowych wyborach w 1938 r. wynaleziono nowy fortel na opornych wyborców. Zakazano wszelkiej

propagandy za biernością przy wyborach, zagrożono dotkliwymi karami za wstrzymanie się od głosowania, a ludzi, którzy nie przestraszyli się gróźb, zamykano i wytaczano im sprawy karne o występki przeciwko rozporządzeniom władz. Mnóstwo młodych ludzi przesiedziało z tego tytułu w więzieniach, wpakowani do cel razem z pospolitymi zbrodniarzami, ponieważ w Polsce okresu sanacji więzienia były zawsze przepełnione. Wedle statystyki urzędowej zaludnienie więzień w 1928 r. wynosiło 71 proc. ich pojemności, a w 1938 r. 164 proc. Ogólna liczba więźniów w 1928 r. wynosiła 29 736 osób, a w 1939 r. 70 520. W 1938 r. w więzieniach śledczych przebywały 15 094 osoby.

Nawet samo oświadczenie wyborcy, że wstrzymuje się od głosowania, karano w drodze administracyjnej, a znaleźli się nawet sędziowie, którzy podobne wyroki zatwierdzali. Częściowym rezultatem takiego bezprawia i terroru było podwyższenie w 1938 r. liczby głosujących do 67,1 proc. uprawnionych z 45 proc. w 1935 r. Głównym powodem tego wzrostu liczby głosujących było jednak to, że prezydent zarządził wybory głównie z myślą o uchwaleniu nowej ordynacji wyborczej. Podobne obietnice na zebraniach przedwyborczych składali senatorowie. Zapowiadano, że nowy Sejm bezzwłocznie uchwali nową ordynację. Oczywiście po wyborach posłowie wcale nie myśleli o spełnieniu obietnic, a troszczyli się wyłącznie o to, by nie stracić stanowisk i wynikających z nich korzyści. Wytykano im to publicznie, chociaż nadaremnie. W systemie sanacyjnym utonęło poczucie honoru.

Rozdział siódmy

Instytucja nieznanych sprawców

Obok policji, sądów i prokuratury istniała w całym okresie rządów sanacyjnych w Polsce tajemnicza instytucja, którą można nazwać instytucją „nieznanych sprawców”. Powierzchnie instytucja ta podobna była do gangów amerykańskich, miała bowiem zbliżoną do nich technikę pracy. Różniła się od nich natomiast tym, że miała za sobą cichą aprobatę sfer rządowych, prokuratura państwa nie mogła się wtrącać do jej zbrodniczych czynów, a w niektórych wypadkach nie wolno było pod surową karą informować o jej działaniach. Skąd się wzięła ta instytucja, nieznana zupełnie w okresie przedwojennym? Prawdopodobnie wylęła się w czasach konspiracji rewolucyjnych piłsudczyków, by karać niewiernych lub nieposłusznych członków konspiracji, i została w innych warunkach, w wolnym państwie polskim, wykorzystana do rozprawy z ludźmi niechętnymi lub niewygodnymi, chociaż wobec obowiązującego prawa niczego złego nie popełnili... Była to więc karygodna, a niekiedy zbrodnicza samowola, sprzeczna z elementarnymi zasadami państwa nowożytnego. Była ona jednak tak ściśle związana z niektórymi organami państwowymi, że o ściganiu jej nie było mowy. Już jako minister wyznań i oświaty w 1923 r. dowiedziałem się o działalności bezkarnej mafii. Gdy wyjeżdżałem z mego mieszkania do biura w ministerstwie, zobaczyłem jadącego stale ze mną obok szofera jakiegoś towarzysza. Na moje pytanie, kim jest i po co ze mną jeździ, odpowiedział, że robi to z rozkazu władzy, ponieważ mają informację o planowanych zamachach na mnie i niektórych ministrów. Wskutek mego sprzeciwu opuścił samochód, ale pilnował mnie pieszo, z innym towarzyszem. W nocy miałem zwyczaj pracować w biurze i pieszo powracać do swego mieszkania. Zawszebrew mojej woli towarzyszyli mi z oddali dwaj detektywi, powołując się na rozkaz władzy. Władza ta jednak nie śmiała niczego przedsięwziąć przeciwko planom zamachowców, o których wiedziałem.

Ta sama nieznana mafia kontrolowała rozmowy telefoniczne moje i innych ministrów.

Minister poczt i telegrafów zainterpelowany przeze mnie, zbadał sprawę i na posiedzeniu Rady Ministrów przyznał, że istnieje podsłuch za pomocą jakiegoś aparatu umieszczonego pod mostem na Wiśle. Nie miano jednak odwagi wystąpić przeciwko mafii i zniszczyć jej urządzenia. Mówiono mi poufnie, że mafia ta jest częścią Drugiego Wydziału Wojskowego, zajmującego się wywiadem. Byłoby niewątpliwie zgodne z obowiązkami tego wydziału prowadzenie działalności wywiadowczej za granicą i obserwacja elementów podejrzanych w kraju, ale nie kontrola rządu i śledzenie rządowych tajemnic.

Bardzo gorliwą działalność rozwinęła ta instytucja po zamachu majowym. Szerokiego rozgłosu nabrała sprawa zniknięcia generała Zagórskiego, którego po wypuszczeniu z więzienia w Wilnie i przyjeździe do Warszawy zaproszono do samochodu Naczelnego Wodza i wywieziono w nieznanne miejsce, skąd już nie powrócił. Nie tylko pozbawiono go życia, ale rzucono na niego potwarz, sugerując, że był zdrajcą kraju, że uciekł do Francji, do Ameryki itp. Zakazano wspominać o Zagórskim w prasie pod groźbą konfiskaty. Nawet w Sejmie i w Senacie nie wolno było o nim wspominać bez narażenia się na hałaśliwe okrzyki senatorów i na surowa naganę przewodniczących marszałków. W tym wypadku prokuratura milczała, a instytucja „nieznanych sprawców” święciła triumfy.

Zwycięzca z roku 1920, szef sztabu Tadeusz Rozwadowski umarł po zwolnieniu z więzienia w Wilnie, ale rozeszła się pogłoska, że powodem śmierci było otrucie. Nikt nie śmiał badać właściwych przyczyn tragedii. Później znany był napad na znakomitego pisarza Nowaczyńskiego, którego dotkliwie pobito i zraniono, co spowodowało ślepotę na jedno oko. Ofiarami podobnych napadów stali się publicysta Mostowicz i minister skarbu Zdziechowiecki, którego pobito w jego własnym mieszkaniu i pozostawiono prawie martwego na podłodze. Napady te były głośne i publicznie piętnowane, ale prokuratura nie miała odwagi zająć się nimi.

Z czasem działania instytucji „nieznanych sprawców” objęły cały kraj. Jej poparciem wsławili się niektórzy wojewodowie, jak na przykład wojewoda pomorski, a potem białostocki Kirtiklis. Groźne wypadki w Brześciu, potępiane przez wszystkie sfery, odbiły się ponurym echem w procesie sądowym, który nie był skierowany przeciwko sprawcom gwałtu, lecz przeciw jego ofiarom. Znaleźli się między nimi ludzie, którzy z odezwą lewicy nie mieli nic wspólnego, jak Wojciech Korfanty czy były wojewoda Aleksander Dębski. Prokuratura jednak nie śmiała ścigać rzeczywistych złoczyńców, choć zaciekle atakowała wszelką działalność antyrządową. Proces ten i wyrok były szczytem triumfu „nieznanych sprawców”. Bóg wynagrodził Korfantemu za krzywdy doznane od prześladowczej mafii, bo powołał go do siebie, zanim mógł zobaczyć straszliwe skutki trzynastu lat rządów takiej „sanacji” moralnej.

Sanacja deklamowała nieustannie o potrzebie silnego rządu, ale ten silny rząd był jej potrzebny tylko do ścigania i tępienia przeciwników politycznych, a zgoła nie w tym celu, aby wprowadzić w kraju sprawiedliwe rządy i zniszczyć samowolę w życiu prywatnym i publicznym. Rządziła kasta uprzywilejowana, żadna władzy bez odpowiedzialności, dla której prawo i praworządność były czczym frazesem. Najlepszym na to dowodem jest fakt, że przywódcy sanacji instytucję „nieznanych sprawców” tolerowali, nigdy nie oburzali się na jej zbrodnie i traktowali ją jako uzupełnienie działalności sądów i innych władz państwowych.

Gdy w Komisji Budżetowej Senatu sędziwy ksiądz Bolt, zasłużony dla narodowego odrodzenia Pomorza, uskarżał się na anarchię, szerzoną przez niektórych starostów, na przykład przez starostę Twardowskiego, i przytaczał jaskrawe przykłady nadużyć i korupcji urzędników, obecny na obradach minister Kościałkowski zgromił księdza w sposób gwałtowny i nieprzyzwoity, nazywając bez sprawdzenia zarzutów jego wystąpienie kłamstwem i oszczerstwem. Później rozprawy sądowe wykazały, że ksiądz Bolt miał rację, a jego informacje

były prawdziwe, ale pan Kościałkowski nie uznał za swój obowiązek wynagrodzić krzywdy moralne wyrządzone sędziwemu kapłanowi i patriocie.

Rozdział ósmy

Marnotrawcza gospodarka publiczna

Nie jest moim celem wykazywać tu szczegółowo błędy i rozrzutność sanacji w szafowaniu funduszami państwowymi. Czyniłem to w Sejmie i w Senacie corocznie przy rozpatrywaniu budżetów. Czynili to moi koledzy klubowi. Nie mogę się jednak wstrzymać od wytknięcia takich działań, które z natury swojej miały piętno rządów partyjnych kosztem skarbu publicznego. Szczególnym przykładem tego była gospodarka funduszami dyspozycyjnymi ministrów, które w okresie rządów sanacyjnych niesłychanie wzrosły. Zaliczają się do tego fundusze jawne, które wzrosły z 7,4 mln. do 23,5 mln. zł., oraz ryczałtowe sumy poszczególnych resortów, przeznaczone na pomoc naukową, na subwencje dla stowarzyszeń i opiekę społeczną.

Dzięki sporowi o przewodnictwo w Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet dowiedzieliśmy się, że ten związek sanacyjny pobierał z różnych źródeł państwowych kilka milionów złotych subwencji, chociaż nigdzie w budżecie nie był wymieniany. Przy innej okazji wyszło na jaw, że prezes Banku Gospodarstwa Krajowego generał Górecki rozdał w jednym roku z funduszy dyspozycyjnych banku milion złotych na subwencje dla różnych sanacyjnych instytucji i stowarzyszeń. Milionowe fundusze przeznaczone na stypendia dla młodzieży akademickiej rozprowadzane były nie zgodnie z wnioskami uczelni, ale wedle uznania takich instytucji, jak Legion Młodych.

Nie zapomnieli też o sobie sanacyjni ministrowie i w 1934 r. przeprowadzili w Sejmie ustawę zapewniającą ministrom pełną emeryturę już po roku pracy na tym stanowisku. Doliczano do tego emeryturę za piętnaście lat pracy na innych stanowiskach państwowych i za okres piastowania mandatu poselskiego lub senatorskiego. Zaznaczyć należy, że przed przewrotem majowym ministrowie odchodzili do poprzedniej służby bez żadnych praw do emerytury ministerialnej.

Budżet emerytur w dziale administracji wzrósł z 32 mln. w 1924 r. do 161 mln. w 1931 r. Stał się on niewyczerpanym funduszem dyspozycyjnym, za pomocą którego otwierano nowe posady dla kandydatów sanacyjnych. Dla celów politycznych korzystano i z innych funduszy. Najbardziej karygodne było nadużywanie w tym celu funduszy ubezpieczeń społecznych. Niestety, jedna z najsmutniejszych konsekwencji „silnych rządów” sanacji było zepchnięcie kontroli państwowej na pozycje podrzędne. Były czasy, kiedy Najwyższa Izba Kontroli zajmowała śmiało, krytyczne stanowisko wobec rządu i jego organów. Były to czasy przedmajowe. Jednak z majem 1926 r. skończyły się rządy „sejmokracji”, a więc „szujów, łajdaków i złodziei”, nie obawiających się jawnej i surowej krytyki. Nastąpiły rządy klikki Piłsudskiego. W sprawozdaniach Najwyższej Izby Kontroli odzywały się coraz słabsze echa dawnej krytyki, aż z czasem zupełnie znikły, a niezależny prezes Izby, profesor Wróblewski powrócił na swe stanowisko profesorskie w Krakowie. Na czele Najwyższej Izby Kontroli stanął zaufany generał, a Konstytucja kwietniowa uczyniła go powolnym narzędziem rządu pod firmą prezydenta Rzeczypospolitej.

Na dowód prawdy zawartej w mojej ocenie wystarczy przypomnieć stałe, milionowe przekraczanie budżetów państwowych przez zarząd skarbowy, często zupełnie samowolnie i bez uzasadnionych powodów. Wystarczy przypomnieć samowolną gospodarkę funduszami pożyczkowymi, przeznaczonymi przez ustawy na zupełnie inne cele. Wystarczy na koniec

wymienić samowolną gospodarkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, pozbawioną wszelkiej kontroli.

Wszelkie jednak nawoływania do ograniczenia wydatków, do oszczędności, rozbijały się o naiwny upór i pewność siebie ludzi, którym rządy państwem wydawały się łatwą zabawą. Jeden z tych panów, mianowany premierem, kupił kosztowny samochód i pojechał do kąpieliska nad Atlantykiem. Inny, jako minister spraw zagranicznych, pojechał pociągiem specjalnym do Madrytu na konferencję międzynarodową. Dla wszystkich nowych dygnitarzy sanacyjnych, jak prezydentów sądów, dyrektorów izb skarbowych, starostów powiatowych, sprawiono samochody na koszt skarbu państwa lub samorządu, a prezes Banku Gospodarstwa Krajowego w publicznych przemówieniach i odczytach wzywał do zaciągania pożyczek inwestycyjnych na rozbudowę miast i życia gospodarczego.

Ostatni minister skarbu Kwiatkowski okazał wiele dobrej woli w porządkowaniu finansów państwa i przyznał publicznie, że jego poprzednicy popełniali błędy. Jednak on także nie był wolny od optymizmu i obietnic niemożliwych do realizowania w naszym stanie finansowym, jak na przykład budowa kanału, który miał połączyć Polskę z Morzem Czarnym. On również, mimo szerokich uprawnień ministra skarbu, nie umiał powstrzymać swoich kolegów w gabinecie od przekroczenia preliminarzy, chociaż smutny stan obrony państwa nie był mu tajny.

Dzisiaj, po bolesnym doświadczeniu, widzimy, jak gorzką ironią było rozpisanie dopiero przed samą wojną subskrypcji na pożyczkę lotniczą – po skonsumowaniu poprzedniej pożyczki „narodowej”. Widocznie byli w rządzie ludzie, którzy sprawę zabezpieczenia obrony państwa uważali za kwestię uboczną, którą można załatwić ofiarnością poszczególnych sfer narodowych i okresowymi pożyczkami – bez naruszania ich resortów ministerialnych.

Rozdział dziewiąty

Prześladowanie narodowej młodzieży

Cechą charakterystyczną systemu rządów sanacyjnych było prześladowanie młodzieży narodowej, zwłaszcza akademickiej. Robiono to z całą zawziętością, ze ślepą nienawiścią, jakby się obawiano surowego wyroku, jaki potomność wyda kiedyś na ich niesumienne rządy. Wyrazem tej dzikiej pasji była Bereza, którą wymyślono jako bat nad młodzieżą, a dopiero później, pod naciskiem opinii publicznej, zaczęto zsyłać tam lichwiarzy i komunistów.

Na młodzież narodową rzucano niegodziwe potwarze, a każdy wybryk właściwy młodym pokoleniom piętnowano jako zbrodnię. Utrzymywano wśród młodzieży płatnych szpiegów, konfidentów. Równocześnie usiłowano młodzież zdemoralizować, tworząc odrębne, uprzywilejowane związki, obdarowując je stypendiami. Takim związkiem był przez kilka lat Legion Młodych, złożony z jednostek o lichej wartości moralnej, skoro na koniec się rozwiązał w wyniku wewnętrznego rozkładu.

Starano się pod rozmaitymi pozorami rozbić młodzież narodową na odrębne związki. Zabieg ten powiódł się intrygantom częściowo na gruncie warszawskim, gdzie pozyskano kilku młodych przywódców. Rezultatem było stworzenie nowego ugrupowania młodzieży o nazwie ONR [Obóz Narodowo-Radykalny – przyp. red.], które niebawem rozbiło się na kilka osobnych grup, wzajemnie się zwalczających. W ostatnich latach po stworzeniu OZON-u [Organizacja Zjednoczenia Narodowego – przyp. red.] zastosowano tę samą metodę także wobec młodzieży ludowej, wytwarzając wśród niej atmosferę sporów i wzajemnej niechęci.

Na szczęście cała nienawistna akcja sanacji i jej najemnej prasy nie zdołała zdemoralizować naszej młodzieży. Młodzież ta była i pozostała katolicka, narodowa, dążyła i

dąży do Polski sprawiedliwej dla wszystkich, praworządnej, opartej na zasadach etycznych, chrześcijańskich! Nie jest prawdą, aby młodzież narodowa dążyła do prześladowania tak zwanych mniejszości narodowych, byle te mniejszości poczuwały się do obowiązku wierności wobec Rzeczypospolitej. Także troska o przechodzenie ludności wiejskiej do handlu, przemysłu i wolnych zawodów nie jest grzechem politycznym i godzi się z troską o bezpieczeństwo i dobrobyt narodu oraz z zasadą równouprawnienia.

Nie było więc żadnej słusznej przyczyny do prześladowania młodzieży narodowej we własnej ojczyźnie. Jediną przyczyną była żądza utrzymania się u władzy bez zastanawiania się nad tym, dokąd Polska zajdzie, nie mając szerszej idei, kierując się tylko ideologią „bata” i smutną perspektywą „potopu po nas”.

Rozdział dziesiąty

Rząd sanacyjny najslabszym z rządów odrodzonej Polski

Kiedy hasło Piłsudskiego wytepienia „szujów, łajdaków, złodziei i morderców” spośród dawnych kierowników Polski okazało się prostą potwarzą i demagogicznym chwytem, pozostało dla usprawiedliwienia buntu tylko drugie hasło „silnego rządu”, zwrócone przeciwko sejmokracji i zmiennym rządóm okresu przedmajowego. Hasło to podobało się wielu ludzióm, którym sprzykrzyły się ciągłe walki między partiami o reformę rolną, o prawo robotnicze, o ubezpieczenia społeczne, o teki ministerialne. Nie zdawano sobie jednak sprawy z tego, na czym polega istotna siła rządu. Czy wystarczy kontrola nad organami wojskowymi i policyjnymi bez ideowego związku z narodem lub znaczną jego częścią? Niebawem się okazało, że ten rząd, nazywający się „silnym”, nie ma żadnej idei, żadnej spójni łączącej go ze społeczeństwem.

„Nie potrzebujemy programów – wołał już Bartel – naszym programem jest praca”. Praca nie jest wcale programem, lecz obowiązkiem rządu i całego narodu. Nie ma jednak pracy bez myśli ludzkiej, bez duchowej sprężyny, bez idei ogarniającej całość. Takiej idei obóz ten, który zrodził się z walki i nie umiał rządzić bez walki, nie miał. Mówiono wprawdzie o „ideologii” Piłsudskiego, ale nigdy nie chciano lub nie umiano wyjaśnić, na czym ona polega. Szczery był jeden z jego gorących wielbicieli poseł Polakiewicz, gdy raz w Sejmie w polemicznym zapale zawołał: „Wziąć za pysk”. Istotnie, w tym triumfalnym okrzyku mieściła się ideologia warstwy rządzącej Polską przez trzynaście lat. Była to ideologia ciągłej brutalnej walki z przeciwnikami, ideologia Berezy, Brzeźcia, łamania kości i utrzymywania się u władzy za pomocą policji, terroru, partyjnych wyroków sądowych, rozdawnictwa posad, orderów, stanowisk poselskich i senatorskich, prezydenckich i wójtowskich, sekretarzy i pachółków gminnych itp.

Głównym wyrazem praktycznym tej ideologii była walka z obozem narodowym, który inaczej pojmował zasady i cele rządzenia, czyli z tak zwaną endecją, oraz innymi stronnictwami, szczególnie z ludowcami.

W rzeczywistości jednak w tej policyjnej „sile” rządu tkwiła największa jego słabość. Wszędzie bowiem, gdzie rząd natknął się na jakąś kwestię zasadniczą, ideową, która wymagała rozstrzygnięcia, program okazywał się nieudolny, tak jak nieudolnymi okazywali się urzędnicy z „domowym wykształceniem”. Musiał więc rząd w kwestiach ważnych, żywotnych dla narodu lawirować od wypadku do wypadku, bo nie stać go było na decyzję stanowczą. Niekiedy trzeba było ustąpić miejsca innym z tej samej kasty, co nazywano „zmianą warty”, aby wysunęli jakąś nową sprawę programową, jaką było choćby wspomiane już malowanie płotów w czasie ciężkiego kryzysu gospodarczego.

Bezprogramowość i bezradność rządów sanacji objawiały się we wszystkich zasadniczych

kwestiach państwowych, w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Do takich kwestii należała sprawa przymierzy lub innego zabezpieczenia państwa, sprawa mniejszości narodowych, sprawa wykonania reformy rolnej, sprawy samorządowe.

W żadnej z tych kapitalnych spraw rząd nie miał wytyczonej linii, lecz traktował je rozmaicie – od wypadku do wypadku, od województwa do województwa, wywołując w rezultacie powszechne niezadowolenie i rozjątrzenie.

Tylko wobec Stronnictwa Narodowego okazywał rząd do ostatniej chwili swoją siłę i energię przy pomocy policji i więzień. Dopiero mobilizacja armii zniewoliła rząd do wypuszczenia z więzień śledczych licznej grupy akademików i oficerów rezerwy, trzymany tam bez przesłuchań i bez podstawy prawnej.

W czasie wojny z bolszewikami w 1920 r. sam Piłsudski uznał potrzebę zespolenia wszystkich sił polskich przez utworzenie Rady Obrony Państwa. Rząd sanacyjny w czasie tej wojny próby takiej nie podejmował, spieszył się bowiem do podróży za granicę, wiedząc, w jakim stanie znajduje się obrona kraju.

Rozdział jedenasty

Zakończenie

Podaję krótki zarys rządów sanacyjnych, ponieważ za ich czasów nie wolno było pisać ani głosić prawdy pod groźbą napadów, łamania kości, Brześcia, więzienia i napiętnowania autora mianem oszczercy i zbrodniarza. Uważam więc za swój obowiązek przekazać pamięci żyjących i potomnych to, co wbrew legendom publicystów sanacji uważam za prawdę, bo nie jestem pewien, czy w moim sędziwym wieku i przygnębieniu nieszczęściem narodu i własnym dożyję końca wojny i triumfu wolnej, całej ojczyzny...

Rządy w państwie to rzecz niezmiernie trudna i niezmiernie odpowiedzialna. Wiedział o tym Witos z własnego doświadczenia, gdy po zamachu Piłsudskiego odpowiedział interpelantowi: „Niech pokażą, co umieją”. Słowa te świadczą zarazem o odpowiedzialności Witosa. Tego poczucia nie mieli jednak ci niesumienni awanturnicy, którym przyświecała jedynie żądza władzy i posad, żądza użycia i gnębienia przeciwników politycznych.

Witos za życia doczekał się Brześcia i tułaczki za granicą, a my wszyscy, wraz z nim, najstraszniejszej katastrofy politycznej państwa i narodu. Niech powszechne potępienie sprawców tego losu będzie nauką i przestrogą na zawsze przed podobnymi próbami w przyszłości.

